

KONRAD KOMORNICZAK

„OBÓZ”

© Copyright by Konrad Komorniczak

Był roznosicielem ulotek. Znienawidzonym, przemykającym między kolejnymi domami włamywaczem, wdzierającym się bez pardonu w spokojną prywatność z kolejną atrakcyjną ofertą, której nikt sobie nie życzy. Tym bardziej nie teraz, w niedzielne, zaszcze już kurtyną nocnego nieba popołudnie, stanowiące preludium do poniedziałkowego koszmaru. Był wprawiony w tej pracy. Dyskretnie wślizgiwał się przez półprzymknięte drzwi, ewakuacyjne wejścia, przeskakiwał przez bramy, płoty, wykorzystywał najmniejszą lukę w systemach kamer i domofonów, torując sobie drogę do wnętrza kluczem bądź plastikową kartą biblioteczną. Wszystko to, by podejść jak najbliżej, by dotrzeć do niechętnego klienta, nierzadko zaglądając mu przy tym do buchających garnków z obiadem, słuchając jego kłótni oraz podziwiając wystrój nieosiągalnych dla siebie wnętrz. By wreszcie pozbyć się kolorowej makulatury, zdjęć z głowy chroniący przed deszczem kaptur i móc najbliższym autobusem wrócić do domu.

Deszcz zaczął padać z nadejściem wieczora. Najpierw delikatnie zwilżył ulicę Kościuszki i towarzyszący jej chodnik, po którym właśnie sunął długimi, powłóczytymi już nieco ze zmęczenia krokami Marek, by następnie rozhulać się na dobre, zacinając od zachodu prosto w twarz. Chłopak szedł równolegle do długich ścian bloków, stanowiących granicę „Lubonianki”, lekko przygarbiony, trzymając ręce na szelkach od plecaka. Wiedział, że dwa zamknięte osiedla przy Niezłomnych będą jego ostatnim obowiązkiem tego dnia. Minął więc przejście dla pieszych i ruszył szybciej przez wiadukt. Spod mokrych powiek przez żelazne bariery dostrzegał jedynie sunące pod nim rozmazane światła, pojawiających się co rusz na czarnych wstążkach autostrady ciężarówek. Przystaniając oczy przekroczył go i udał się wraz z pierwszym zakrętem w prawo dość długą, ciągnącą się w dół ulicą, leżącą niemalże po sąsiedzku z tablicą informującą o granicy między Luboniem a Poznaniem. Być może właśnie głośnie dudnienie deszczu i równomierny tupot jego ciężkich butów zwabiły na powierzchnię dżdżownic. Sprawily, że wzywały ciekawie przez rozmiękczoną ziemię, ciepłą jeszcze od wczesnojesiennego słońca, w poszukiwaniu sensacji, która wywołała tego rodzaju łoskot. Przez pozostawione za ich obłymi odwłokami tunele podążało wszystko co zamknięte w tej ziemi mogło szukać ukojenia pod ciężarem padających z nieba kropel.

Minął muzeum, myśląc jedynie o tym jak ciężko będzie wlec się znowu pod górę a potem do najbliższego przystanku. Zatrzymał się jednak na chwilę. Za każdym razem kiedy tędy przechodził miał ochotę to zrobić. Rozciągający się naprzeciw budynków, zapomniany przez wszystkich, może poza skateboardzistami, otoczony kolczastym drutem poniemiecki obóz wywoływał w nim rodzaj specyficznej zadumy. Nie wiedział dokładnie jaka historia kryje się za dostojnymi napisami, wyłaniającymi się z kamiennych i mosiężnych tablic oraz zasepionymi ludźmi doglądającymi z pomnika realizacji hasła „Nigdy wojny”. Nigdy tego nie sprawdził. Wiedział natomiast, że w miejscu tym jest coś, co go fascynuje. Coś przypominającego zebrane najlepsze momenty ze wspólnego celebrowania święta zmarłych: zadumę, pamięć i szacunek, mimo iż nie świecił się żaden znicz, a i kwiaty jeśli już były, wyglądały na przywiedle. Przez dziurę w płocie wszedł do środka i usiadłszy na ławce w centralnej części betonowego placu wyciągnął z pomiętej paczki ostatniego papierosa. Wprawnym ruchem odpalił zapalniczkę, a jasny blask przez mgnienie oka rozjaśnił mrok. Później już tylko drobne czerwone światło papierosowego żaru zdradzało w tym miejscu ludzką obecność. Obecność, która z pewnością nikogo w tej chwili nie obchodziła.

Delektując się każdym wdechem rozmyślał o gorącej kąpieli i tym, co zje na spóźniony obiad. Pogrążony w krainie niedalekiej przyszłości nie zauważył nawet kiedy głowa, niczym u żółwia, schowała mu się głębiej w ramiona a oczy zasnuły mgłą podobną do tej, która zaczynała unosić się znad nieodległej wody.

- Nie śpij – ktoś dotknął jego ramienia delikatnie, lecz mocno na tyle, by zbudzić go z letargu.

Otworzył oczy powoli, ale wszystko co widział było jeszcze niewyraźne i dopiero przetarcie ich zdecydowanym ruchem dłoni nadało rzeczywistości ostre rysy. Sen musiał być bardzo krótki, nie dłuższy niż minuta, może półtorej, bo papieros żarzył się dopiero przy połowie. Mgła o konsystencji mleka owinęła mu się już wokół kostek tak, że nie widział butów. Wyglądała jednak jakby nie zamierzała na tym poprzestać. Marek, napędzany ciekawością odwrócił głowę w lewo, żeby zapoznać się ze źródłem niskiego męskiego głosu. Jego oczom ukazał się postawny mężczyzna o szlachetnej twarzy zdobionej szerokim, lekko krzywym u nasady nosem. Szary strój, który nosił na sobie nieznamy wydawał się nie być zbyt gruby i nie chronić dostatecznie przed chłodem, co tłumaczyłoby lekko zsiniałe usta.

- Poczęstujesz mnie papierosem? – zapytał, przyglądając się z zaciekawieniem Markowi.

- Przepraszam, ale miałem ostatniego.

- Ostatniego w życiu? – zapytał i nie wysłuchując odpowiedzi zrezygnowany odwrócił się na pięcie. – Lepiej rusz się z miejsca. Komendant bardzo nie lubi gdy ktoś siedzi.

Chłopak przeniósł, skoncentrowany do tej pory na nieznanym, wzrok na dalszy plan, a z obłoków mgły wyłoniły się kolejne postaci. Obok mających baraków ustawieni byli w dwuszeregu mężczyźni podobni temu, z którym przed chwilą rozmawiał. Słuchali uważnie umundurowanego żołnierza, aż jeden z nich, otrzymawszy cios pałką w głowę osunął się na ziemię. Najwyraźniej na rozkaz, reszta zaniósła go do dołu, znajdującego się na samym końcu obozu. Głośny plusk zakończył dramatyczną scenę.

Ludzie byli wszędzie. Jedni pracowali, drudzy przyglądali się ich pracy, co chwila pokrzykując. Cisza rozpadła się na kawałki tak jak powoli kruszyła się pewność siebie chłopaka. Wędrując wzrokiem po połyskującym od deszczu drucie kolczastym dostrzegł, że jest uwięziony. W miejscu, gdzie niegdyś widniała sporej wielkości dziura w płocie, strażnik udeptywał twardą ścieżkę maszerując tam i z powrotem, celując przy tym dla zabawy z karabinu do tych, którzy mundurów nie nosili. Udawał przy tym odgłos wystrzału, a jego twarz zdradzała, że sprawiało mu to wiele radości. Identycznej rozrywce oddawali się jego towarzysze, stojący na wysokiej drewnianej wieżycze usytuowanej w południowo-wschodnim narożniku obozu.

- Dlaczego siedzisz?! – wrzasnął ktoś zza pleców Marka łapiąc go jednocześnie za bluzę i podnosząc z miejsca. – Nie mówił ci Polak, że masz wstać?!

- Proszę pana ja właśnie miałem... – nie zdążył dokończyć, gdy komendant wywlekłszy go na środek placu rzucił nim o beton. Z plecaka wysypały się ulotki.

- Co to...kon...spi...ra...cja w o...bo...zie? – dzielił sylaby głuchym dźwiękiem pałki lądującej na plecach skulonego chłopaka.

- To tylko... – próbował tłumaczyć się Marek, by po chwili zrezygnowany bronić już tylko integralności własnego ciała.

Za każdym razem, gdy udało mu się choć na moment podnieść głowę, widział migające twarze przerażonych więźniów. Tylko ten, który poprosił go o papierosa zdawał się delikatnie uśmiechać. W ekstremalnych sytuacjach wzrok płata jednak najróżniejsze

figle. Zdezorientowany chłopak mógł być pewny jedynie tego, że od tej chwili stał się jednym z nich. Przypuszczenia potwierdziły szybko kolejne słowa komendanta.

- Wszyscy tak skończycie! Co do jednego! – grzmiał brunet w czarnym mundurze poprawiając czerwoną przepaskę, która od energicznych ruchów zsunęła mu się po przedramieniu. – Związać go i zamknąć z innymi leniwymi świniami! Gratuluję chłopcze, wygrałeś bilet na ostatnie wolne miejsce – powiedział ciszej, odchodząc już w kierunku murowanego budynku, znajdującego się po drugiej stronie bramy obozu.

Strażnicy dopadli do Marka i wykręciwszy ręce za plecy, skrępowali je grubą liną. To samo uczynili ze stopami. Nie knebłowali mu ust. Najwyraźniej donośny krzyk chłopaka nie doskwierał im tak bardzo jak mogłaby to sprawić jakakolwiek próba ucieczki. Największy z oprawców chwyciwszy w rękę grubego węzła uwiązany na nogach, pociągnął chłopaka w stronę baraku najbliższego siedzibie wyzierającego już przez okno komendanta. Drzwi otworzyły się i zamknęły. Pośród tłoczących się tu, unieruchomionych jak on ludzi, Marek wyglądał najbardziej zdrowo.

Powoli zaczął tracić towarzyszącą mu do tej pory nadzieję, że całe zajście jest jedynie wytworem zmęczonego mózgu, wybrykiem źle stymulowanej wyobraźni lub koszmarnym snem we śnie po prostu, jeśli rzeczywiście zdarzyło mu się przysnąć. Z całych sił wołał o pomoc i próbował choć trochę rozluźnić więzy.

- Nie trudź się chłopcze. Zostaw siły i głos na rozmowę z tym, który będzie chciał cię słuchać. Tutaj nikogo już nie obchodzisz – odezwał się jeden z najstarszych więźniów.

Marek spojrzał na mężczyznę zdumiony jego spokojem. Kiedy miał już się odezwać i spróbować wskrziesić w nim ostatnie pokłady samozachowawczego instynktu, ktoś zapukał w szybę. Wokół baraku byli żołnierze podlewający jego drewniane ściany ciecżą z kanistrów. Drwili przy tym i rzucali ostatnie obelgi, które jak igły przenikały przez szpary między deskami do wewnątrz.

Języki ognia pojawiające się w oknach zbiegły się w czasie z konwulsyjnym szarpaniem się na podłodze. Chłopak jako jedyny wrzeszczał, wijąc się i bijąc głową o ściany baraku, wierząc daremnie, że któreś z uderzeń utoruje mu drogę do wolności, do domu ze spóźnionym obiadem. Był sam wśród tak wielu. Jedyny żywy pomiędzy umarłymi za życia. W kilkanaście sekund płomienie wdarły się do środka. Dopiero teraz pozostali więźniowie zaczęli krzyczeć. Jeszcze tylko ostatnich kilka szarpnięć Marka. Krzyki zlały się w jeden hałas wraz z głośnie strzelającymi iskrami z palącego się wilgotnego drewna i skwierczeniem tłuszczu na zwijającej się i odpadającej z żywych jeszcze ludzi skórze. Chłopak porażony nie czuł żadnego bólu. Po chwili leżał już omdlały w wypełnionym obłokami gęstego dymu pomieszczeniu.

- Nie śpij! Widziałeś Reini jak go nabraliśmy? – zwrócił się do komendanta mężczyzna w szarym stroju ponownie szturchając nieprzytomnego, leżącego na ziemi chłopca.

- Daj spokój, prawie zepsułeś przedstawienie. Mówiłem ci Heniu żebyś się nie śmiał, bo w końcu któryś z nich się zorientuje – odpowiedział z udawanym wyrzutem Reini, ale jego słowa utonęły w salwach śmiechu stojących dokoła gołych fundamentów baraku, więźniów i strażników.

Chłopak ocknął się. Po drewnianej konstrukcji, ogniu i obozowej dyscyplinie nie było śladu. Wszyscy uczestnicy jego niedawnego koszmaru, włączając spalonych żywcem towarzyszy niedoli stali wokół niego. Co rusz jeden z zebranych odtwarzał kwestie swoje lub któregoś z pozostałych uczestników przedstawienia, naśladował wrzaski, co budziło jeszcze głośniejszy śmiech. Tylko Marek oszołomiony nie rozumiał co się stało.

- Dobra robota chłopaki – główni uczestnicy spektaklu chodzili poklepując wszystkich po plecach w przyjaznym geście.
- Jeszcze ja! Jeszcze ja! – zakrzyknął ledwie gramolący się z suchego teraz dołu na końcu obozu mężczyzna wcześniej ogłuszony pałką.
- Nie miej nam tego za złe. My się po prostu strasznie nudzimy – zwrócił się Henryk do Marka jakby prosząc wzrokiem o wyrozumiałość.
- Tu są twoje ulotki – dodał komendant, podając chłopakowi plecak.
- I wy, wy to wszystko uknułicie razem? – zapytał, wycierając zimny pot z czoła, dostrzegając przy tym, że jego ciało jest nienaruszone. – Te karabiny, wrzaski, paląca się skóra, to też na niby?
- Wszystko się zgadza. Teraz na szczęście nie nosimy już mundurów. Ubieramy je tylko na przedstawienia takie jak to dla ciebie. I chwała bogu, bo wreszcie razem możemy grać w karty. Gdyby nie to, oszalelibyśmy nic nie robiąc. Uwierz mi, nieczęsto zdarzają się tu goście. Aha, na przyszłość nie bądź zachłanny, podziel się. W innym wypadku ludzie komendanta porządnie przetrzepią ci skórę – dodał z uśmiechem odchodząc.
- Daj spokój Heniu. Nie bądź taki zasadniczy, bo się chłopak w sobie zamknie – zakończył Reini, po czym zarechotali wspólnie idąc krok w krok w kierunku bramy. – Zagrajmy teraz scenę wyzwolenia. Kto ostatni przy bramie ten łachudra i łachmaniarz! – zakrzyknął komendant.
- Jak dziecko.
- Sam jesteś jak dziecko. Arschloch!
- Du Arschloch!
- Proszę, od kiedy tak dobrze znasz niemiecki? – parsknął żartobliwie, po czym oboje rzucili się biegiem w kierunku bramy wejściowej niknąc w resztkach opadającej już mgły. W ich ślady poszła przynajmniej setka setnie ubawionych mężczyzn. W obozie na powrót zapanowała grobowa cisza.